

Włdeczka, Warszawa, wrzesień, a może początek października 1918 roku

– Śmierdzisz!

Włdeczka tylko wzruszyła ramionami. Miała tego wszystkiego dosyć. Wracła ze szpitala po całym dniu szorowania posadzek, parapetów, klamek, framug drzwi jakimiś dezynfekującymi świństwami, podawania kaczek i basenów, wymiany zafajdanej pościeli, usługiwania. Jak miała pachnieć? A zresztą dla kogo?

Popatrzyła z niechęcią na swojego męża. Siedział jak zwykle na zydlu w kuchni i kopał marny tytoń zawinięty w gazetę. To dopiero cuchnęło!

Postawiła na kuchennym stole zakupy, butelkę z mlekiem, kilka kartofli i ser. Otworzyła okno, by choć trochę wywietrzyć, ale Heniuś wstał i zamknął.

Westchnęła ciężko. Na co jej przyszło! Ten Heniuś jeszcze nie tak dawno wydawał jej się przepustką do lepszego świata. Kiedy go poznała, zastępował organistę w kościele Najświętszego Zbawiciela przy placu zwanym Rotundą¹. Tam go zobaczyła pierwszy raz, jak schodził po schodkach z chóru. Zaraz podbiegli do niego jacyś inni, zaczęli klepać po plecach i krzyżeć: „Dobrze było! Dobrze!”. A on na nich nie zwracał uwagi, tylko zastąpił jej drogę i spytał:

– A panience jak się podobało?

Taki był początek ich miłości. Potem było tylko gorzej. Nawet pięknych wspomnień za wiele nie miała. To było w czasie Wielkiej Wojny. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że nastanie wolna Polska, i ludziom się wydawało, że jak już wydarzy się ten cud, to jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znikną głód, chłód i inne nieszczęścia. Z tego powodu chodziły ludziska jak otumaniałe ze szczęścia. Włdeczka też. Toteż jak Heniuś zaproponował, żeby razem zamieszkali, bo tak łatwiej i taniej, to jakby przed nią niebo się otworzyło, bo marzyła jej się taka miłość, jaką widziała za czasów służby u swoich państwa. Pani Emilia – najpierw Żarska, potem Walewska – miała szczęście do chłopów. Pierwszy ją na rękach nosił, ale umarł nieboraczek. Zaraz pojawił się drugi i ten też patrzył się w nią niby w jaki święty obrazek². Włdeczka też by tak chciała, a tu jej się trafił Heniuś, obibok i miglanc. Trzeba było wrócić do rzeczywistości.

– Idę do Zarzecznych po Zygmunia.

– Nie siedź tam jak zwykle do wieczora. Będziemy mieli ważnych gości!

¹ Od 1922 r. ten plac nazywa się Placem Zbawiciela.

² O Emilii z Sucheckich Żarskiej piszę w tomie *Tango dla trojga*.

Matko Boska, znowu? Już miała dosyć tych ważnych gości! Siedzieli w ich jedynym pomieszczeniu, które było jednocześnie kuchnią, sypialnią i salonem, do późna w noc, kłócili się o politykę i kopcili śmierdzące papierosy! Ten jej Heniusz do roboty by się lepiej zabrał! Ale gdzie tam! Gdzie pójdzie, to go zaraz wyciepią! Bo leń, bo buntownik, bo podżegacz! Ale nic nie powiedziała. Co miała mówić? Chciała mieć światowego męża, to ma! Tylko polityka mu w głowie, a o to, by było co do garnka włożyć, ona się musi martwić!

Zeszła na podwórze. Już dobrze mroczniało, a stara Zarieczna, okutana w wielką kraciastą chustę, ciągle siedziała na ławce pod ścianą oficyny i robiła na drutach kolejną parę skarpet. Dwóch bobasów baraszkowało w kojcu na rozłożonym kozuchu. Na jej widok jeden z nich zaśmiał się głośno i czepiając się szczebli, spróbował wstać. Ukucnęła i rozwarła ramiona. Wpadł w nie z impetem, a ona wyciągnęła go zza zagrodzenia.

– Mama! – Śmiał się i mocno się do niej przytulił.

Dla takich chwil Władeczka chciała żyć! Z nich czerpała siłę do pracy i cierpliwość do Heniusia.

– Pożegnaj się ładnie z Leonkiem i z babcią Gieniusią.

– Siednijcie se, Władeczko, odpocznijcie. Przecież ty prosto z pracy.

Tyle było radości babci, że se pogadała, posłuchała, co tam się we Warszawie dzieje, bo ona przecież ciągiem na tym podwórku siedziała i niańczyła cudze bachory, kiedy ich matki szły do roboty. A na podwórku tylko nędzna brzoźka, która już postradała wszystkie liście, wychodek, z którego cuchnęło na całą okolicę, i trzepak, radość dzieciarni, póki jeszcze rodzice nie pognali ich do roboty. To było jej królestwo. Ale już niedługo, bo coraz częściej pogoda się robiła taka, że psa z budy by nie wygonił, i ona będzie musiała siedzieć z tymi dzieciakami w mieszkaniu Zariecznych, w którym panował zaduch, taki jaki zwykle panuje, kiedy w jednym pokoju je, śpi i żyje pięcioro ludzi.

– Ten mój znowu jakichś gości sprosił! Przyjdą towarzysze, herbatę im ciągiem rób, chleb cały wyżrą i smalec! – Władeczka jednak klapnęła na ławce koło babci Gieniusi. Też chętnie by sobie pogadała z kimś życzliwym, ale zaraz porwała się z powrotem. – Toż ja jeszcze mleko dla Zygmutia kupiłam. Muszę schować, bo wypiją!

– Masz ty się! Skaranie boskie! Żeby tylko z tego jakiejś większej biedy nie było! Bo powiadają, że te komunisty to Żydy, antychrysty!

– Ludzie jak inne – odpowiedziała Władeczka. – Tak na mój rozum, to domagają się niektórych słusznych rzeczy. A wasz Józek też do nas przychodzi!

– Eee, on ino tak z ciekawości. – Babcia Gieniusia machnęła lekceważąco dzierganą skarpetą, ale Władeczka już tego nie widziała, bo z Zygmutem na rękach poszła do domu.

Zziajała się trochę, bo wdrapać się na czwarte piętro z takim ciężarem wcale nie było łatwo. W kuchni już siedział Józek Zarzeczny, a Heniusz sięgał do kredensu po kubki, by nalać w nie mleka.

Władeczka szybko zabrała butelkę ze stołu.

– Herbaty wam zrobię – zaproponowała i otworzyła okno, by postawić mleko na parapecie na zewnątrz. Miała na nim zamontowaną niewielką skrzyneczkę. Tam nie powinno skisnąć.

Tymczasem złaziło się do nich coraz więcej ludzi, a ona wyczuwała, że tym razem wszyscy czekają na kogoś wyjątkowego. Jakiś Kostrzewa. To nazwisko słyszała nieraz.

Wreszcie przyszedł, a właściwie przyszła. Kobieta! Władeczka była zaskoczona, kiedy zobaczyła swojego chłopca wycierającego ścierką kuchenny stół, żeby ten niecodzienny gość mógł usiąść.

Wera Kostrzewa! Taką miała postawę, taką pewność w sobie jak nie przymierzając sam pan nieboszczyk Żarski, który był za życia najbardziej znanym we Warszawie mecenasem! Podobno studiowała na jakimś paryskim uniwersytecie! Skarbona czy jak mu tam. Podobno była więziona w X Pawilonie warszawskiej Cytadeli! Podobno zesłano ją na Syberię, ale już wróciła!

To się Władeczce w głowie nie mieściło, skąd u kobiety taka siła, taka odwaga, że umiała się przeciwstawić wszystkim tym ważnym, którzy rządzą. Dlatego koniecznie musiała przyjrzeć się tak niezwyklej osobie. Stała w drzwiach prowadzących na korytarz i oparła się o framugę. Lulała na rękach Zygmunta i otulała go ciepłą chustą. Przez otwarte drzwi szedł zimny podmuch, bo na dole brama wiecznie się nie domykała, a na strychu były powybijane okna, więc przeciągi hulały po całej kamienicy. Ale wołała to. Pracowała w szpitalu, więc wiedziała, że takie zatęchłe powietrze i brud nie są zdrowe, szczególnie dla małego dziecka, więc niech se syneczek pooddycha trochę tą świeżością, bo w ich pokoju siekierę można było zwiesić.

Siedział tam człowiek przy człowieku. Prawie same chłopcy. Komu starczyło miejsca, to na wyrku, komu nie, to na podłodze pod wszystkimi ścianami, a jedyny zydeł Heniusz zaoferował pani Werce. Wszyscy oni kopcili potwornie śmierdzącą machorkę. Nawet ta Kostrzewa paliła cienkiego papierosa w długiej szklanej fifce.

Pani Wera była niezwykle piękną kobietą. Miała już swoje lata, ale jej cera ciągle jaśniała świeżością. Słodko patrzące oczy otoczone były siateczką bardzo delikatnych, ledwie widocznych zmarszczek. Ciemne włosy zaczesywała do tyłu i niedbale wiązała. Widać było, że wcale nie dbała o siebie! Staroświecka długa spódnica utyłana na dole w błocie, bluzczyzna

była jaka, nie lepsza od tych, w których chodziła Władeczka! Jedynie po bucikach znać było rękę dobrego szewca. Tak, buciki były piękne, z delikatnej skórki, sznurowane, z wybitym zdobieniem składającym się z drobnych dziureczek.

– Towarzysze – mówiła tymczasem ta fascynująca osoba głosem niegłośnym i uwodzicielsko melodyjnym – nie pozwólcie się otumanić tymi wszystkimi słowami o wolności! Cóż jest ta wolność i dla kogo? Może dla was, towarzysze, skoro każą wam o nią walczyć, wciągają do wojska? A powiedzcie mi, kto was niewoli? Kto ogranicza wasze życiowe możliwości?

Kto mnie ogranicza? – myślała gorączkowo Władeczka, wspominając lekarzy ze swojego szpitala. – Doktor Demelówna? W żadnym wypadku! To już bardziej doktor Marchwicki! No i Henius! Henius przede wszystkim! Grosza do domu nie przyniesie, całymi dniami włóczy się nie wiadomo gdzie, a swoje wymagania ma! Zjeść potrzebuje, na machorkę mu daj, gacie upierz! O! Nie tak wyobrażała sobie życie Władeczka! Już więcej poszanowania miała, jak pracowała jako służąca do wszystkiego u państwa Żarskich.

Ale nie odważyła się nic powiedzieć. Zresztą tak samo jak inni zebrani.

– To wszystko jedno, czy właścicielem tego zakładu jest Polak czy Żyd, czy Niemiec! Każdy z nich tak samo was wykorzystuje. Bo dla robotnika nie narodowość jest ważna, ale to, by mógł sam o sobie stanowić. By sam zarządzał miejscem, w którym pracuje, by miał wpływ na sposób, w jaki dzielone są zyski pochodzące z jego pracy. Nie narodowość jest dla nas wrogiem, ale sposób funkcjonowania państwa! Państwo jednak musi istnieć. Musi być jak dom, który trzeba urządzić, w którym można dopominać się swojego! Dlatego jednoczmy się! W gromadzie stanowimy siłę, z którą każdy będzie się musiał liczyć!

O Boże! – pomyślała Władeczka. – Toż to jasne jak słońce!

– Bo celem naszym jest, by wolność, prawo i sprawiedliwość zapanowały na całym świecie. Dlatego musi zwyciężyć wszechświatowa rewolucja! Bracia Rosjanie już zwyciężyli! Bracia Niemcy już niedługo utworzą swoją Republikę Rad! A my na co czekamy? Stwórzmy naszą polską republikę!

Władeczka nie zauważyła, kiedy ta Kostrzewa ze zwykłej, zaniedbanej kobiety przekształciła się w przywódcę, za którym ona poszłaby na kraj świata! Wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana tak bardzo, że nie zauważyła, jak jeden z tych, którzy towarzyszyli Werze, przygląda się jej.